№ 7. Warszawa, dnia 16-go Lutego 1908-go roku. Rok XLIV.

BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesięcznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.
Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.
Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim
Zofii Seidlerowej.
Ekspedycya główna: ulica Nowy Swiat, 41.
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie złr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.
W W. Kś. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego.“ w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Bądźmy sobą.

Nie wyrządzają one znacznej, widocznej krzywdy, te nasze drobne, codzienne grzeszki, brak im groźnej, tragicznej wielkości, — a ponieważ sumienie zajęte jest zwykle rozważaniem donioślejszych spraw, przeto nic nam w spełnianiu owych drobnych grzechów nie przeszkadza.

Że one istnieją, powtarzają się, że coraz nowe spełniać jesteśmy gotowi, wiemy o tem dobrze, choćby dzięki łatwości, z jaką spostrzegamy najmniejsze źdźbło w oku naszego bliźniego. Na każdym kroku spotykamy się z różnemi słabościami ludzkiemi — a z pośród wielu innych bardzo często z jedną, która nosi na sobie znamię śmieszności, niekiedy prawie groteskowej. Mówię tu o nader pospolicie spotykanej słabości wywoływania za pomocą jakichkolwiek, mniej, czy więcej szczęśliwie obmyślanych środków, dodatniego wrażenia, któregoby się bez owych środków wywołać nie zdołało.

Ta dziwna gra w „chowanego“ wyraża się w najrozmaitszych formach, przebiega liczne stopnie, powstające z przeróżnych odcieni smaku z jednej strony i uzdolnienia z drugiej; bywa, dochodzi do takiej doskonałości, iż granica pomiędzy prawdą a udawaniem z trudnością daje się odnaleźć.

Niewątpliwie na dnie tych gorących usiłowań, walczących tak wątpliwemi środkami o wątpliwe wyniki, leży bardzo „ludzka“ przyczyna: chęć podobania się. — Tak samo jak strój fizyczny, zewnętrzna nasza postać, przyozdobianemi bywają sztucznemi świecidełkami, fałszywemi klejnotami i różnemi „imitacyami“, — tak samo i fizyonomię duszy usiłują ludzie często ozdabiać nieistniejącemi w niej klejnotami, albo kłamstwem i wykrętem zasłaniać istotne warunki swego bytu.

Na pytanie kto łatwiej ulega grzechowi udawania, kobiety czy mężczyźni, trudno byłoby dać stanowczą odpowiedź,—atoli nierównie ważniejszem od decyzyi w tym względzie wydaje mi się to, że nietylko dorośli zadają sobie trud i łamią sobie głowę nad sposobami przedstawienia się innymi, niż są w istocie.

Chłopcy przed swymi kolegami chwalą się niedokonanymi bohaterskimi czynami, których tłem bywa zwykle nieposłuszeństwo i lekceważenie obowiązujących przepisów; — dziewczynki okłamują się często wzajemnie, wytwarzając niebywałe historye, dogadzające ich próżności i fantazyi.

Przykład idzie z góry, udają starzy i młodzi.

Dorosłe, dwudziestoletnie i starsze panny z upodobaniem wielkiem usiłują pozostać w roli podlotka — lubią stroić się w dziecinne kapelusze, paplą „niby“ bez zastanowienia, przerywają sobie „niby“ wystraszone i mają sobie za punkt honoru żeby usłyszeć uwagę: „a to dzieciak!“

Że taka uwaga daje im świadectwo pozostawania w opóźnionym rozwoju umysłowym, nad tem nie zastanawiają się wcale. Przypominają sobie wrażenia, wywoływane w czasie gdy były kilkonastoletniemi dziewczynkami, nie mogą rozstać się z niemi i nie chcą zrozumieć, że to, co przed kilku laty było prawdziwością swą miłe, porywające,—obliczone na odniesienie wrażenia staje się niesmaczne.

Przykładów możnaby wyliczać bez liku. Blondynki z niebieskiemi oczyma obierają typ „Madonny“ i według tego starają się urobić cały swój nastrój; — „interesująca“ brunetka, wybrawszy „demoniczność“ nie zaniedba żadnego szczegółu pozy, wyrazu twarzy, uczesania, któreby ją jaknajbardziej demoniczną czyniły;— szczupła, blada panienka wmawia w siebie, że trzeba być jeszcze szczuplejszą, jeszcze bledszą, aby się stać uosobieniem „nerwowości“, bo to jedynie wywiera silne wrażenie. Jeden skok a na przeciwstawienie tym „nadpannom“ postawić możemy osoby lekceważące wszelkie formy, ubierające się niestarannie, usiłujące mówić zaniedbanym językiem i w swojej sztucznej „naturalności“ równie nienaturalne jak poprzednio przytoczone przykłady.

Czyż naprawdę nie można obejść się bez udawania?

Granica między tem, co własne, a tem, co obce, znaleźć się musi w nas samych. Odszukać, wyczuć ją powinien każdy. Może na własnym, nie na cudzym gruncie znajdziemy ziarna zdrowe, które uprawiać będzie warto, a które ku prawdziwemu pożytkowi dojrzeją gdy nie będziemy przystosowywać do nich sztucznych kwiatów.

Razu jednego słyszałam takie dowodzenie: „Musiałem udawać, że myślę inaczej, bo gdybym był szczery, nie miałbym żadnego wpływu“.

Czy nie szlachetniej brzmiałoby: „Zrzekam się wpływu, jeśli nie mogę osiągnąć go przez to, czem naprawdę jestem“.

Zofia Seidlerowa.

Eugenia Żmijewska.

PŁOMYK.

CZĘŚĆ TRZECIA.

TOM DRUGI.

. . . .

Jak było?

Po tem pojednaniu z p. Kazimierzem była szczęśliwa bez miary. Nie chciała myśleć, pamiętać. Zamykala oczy — i była szczęśliwą.

Padła w otwierające się przed nią ramiona. Zapomniała o przestrogach pani Wolińskiej: że mężczyznom ufać nie można i, że chcąc z nimi dojść do ładu, trzeba zawsze robić to, na co się niema ochoty.

Byli narzeczonymi. Dał jej nawet pierścionek – śliczny, staroświecki: pośrodku duży rubin, a od niego szły promienie z brylancików, tworząc jakby gwiazdę. To była gwiazda jej szczęścia—promienie jej radości.

Nosiła ten pierścionek na palcu — tylko w nocy, bo prosił i przykazywał, aby we dnie zawieszała go na łańcuszku z medalikami.

Tak chciał. Nie opierała się jego życzeniu. Pani Marta była dla niej, jak siostra. Osłaniała ich zawsze swemi skrzydłami a dbała o dobrą sławę Doli nie mniej chyba od pani Wolińskiej.

Nie zostawiała ich nigdy sam na sam.

— Niech wam się zdaje, państwo narzeczeni, że mnia tu niema — mówiła do nich, gdy p. Kazimierz przyjechał pierwszy raz po porozumieniu się z Dolą.

Usłyszawszy to, zerwał się z fotela, zaczął biegać po pokoju, wreszcie stanął przed panią Martą.

— Jacy narzeczeni? — burknął. — Skąd ta wiadomość? Czy z garderoby? Pani łaskawa, w naszej sferze — mojej i panny Adeli — nikt nie powtarza plotek ani się narzuca z opieką, gdy go o to nie proszą.

Ostre odpowiedzi ani przycinki nie zrażały pani Marty. Rozpościerała wciąż nad nimi swe skrzydła opiekuńcze.

— Nie płoszcie się. To ja! To tylko ja,— mówiła innego dnia, wchodząc do pokoju, w którym siedzieli. Zawadzam—z pewnością, ale chcę być... wizykatoryą, odciągającą gorsze skutki. Gdyby kto przyjechał, zobaczy, że siedzimy we troje.. A teraz odwracam się do was plecami. No, no, nie krępujcie się...

— Niechże pani da pokój z tą inscenizacyą, — wybuchnął, — nie lubię pisać pod dyktandem a tem mniej występować w rolach narzuconych.

Dola nie mogła zrozumieć, dlaczego on mówi rzeczy tak dla niej przykre, bolesne.

Wszak ona mu się nie narzucała. Sam powiedział, że się z nią ożeni. A teraz... żałuje widocznie — chce się cofnąć. Jest niedelikatny nietylko dla niej, ale i dla pani Marty. Dlaczego? Za co? Rzuciwszy jej te słowa, chodził po pokoju, targał wąsa, wciąż zapalał gasnący papieros. Po chwili zaczął mówić z panią Martą o czemś zupełnie obojętnem. Wreszcie pożegnał się i wyjechał.

Przez następne dwa tygodnie ani się nie pokazał.

Pani Dropińska radziła Doli napisać że za nim tęskni.

Pokusa była wielka, ale — jeszcze większa obawa, aby nie pomyślał, że — „narzucają mu rolę“.

Wreszcie przyjechał sam — bez wezwania.

Był dla Doli bardzo chłodny. Przycinał jej w ogólnej rozmowie.

Mówiono o projektowanym balu kostjumowym.

— Ty, Dolu, musisz się przebrać za Wenecyankę, - proponowała jej pani Marta.

— Może lepiej wystąpić, jako obłok, bo wciąż wisi w obłokach—albo—jako łzawnica, o byle co — już oczy we łzach pływają, — burknął złośliwie.

Innego dnia, wśród rozmowy z panią Martą o beletrystyce, Dola zarzuciła Estei brak wyobraźni.

— Bo pani zachciewa się romantycznych przygód,—wtrącił p. Kazimierz, dotknięty jakby osobiście tym zarzutem, — pani by chciała naturalnie, żeby bohaterowie puszczali się wpław przez morze dla ujrzenia ukochanej bodaj na chwilę. Czasy Leandra i Hero minęły bezpowrotnie. Dziś ludzie nie jadą i dwóch mil po złej drodze, żeby zobaczyć przedmiot miłości, a z tęsknoty za nim -- siadają do winta.

Pani Marta wstała i chciała wyjść.

— Nie przeszkadzam — rzekła żartobliwie. — Najlepiej kłócić się na cztery oczy.

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia na cztery oczy ani wobec pani,—rzekł ostro.

Dola czuła, że się rozpłacze. Wyszła z pokoju.

... Czemu on ją tak dręczy? Wszak kocha... Nie ulegało wątpliwości. Tego samego wieczoru, po kolacyi, przechodząc z jadalnego pokoju do buduaru, wsunął jej w rękę papierek—nieznacznie. Karteczka paliła ją w dłoni... Przeczytać... jaknajprędzej przeczytać! Udała, że ją głowa boli, pobiegła do swego pokoju.

I przeczytała:

„Słodka! moja!“

Tylko tyle!... Tak dużo! Tak bardzo wiele! Warto było cierpieć dla takich dwu słów...

A cierpiała za każdym jego przyjazdem. Pastwił się wprost nad nią. Bała go się nie mniej, jak w dzieciństwie matki, nauczycielki, panny Olimpii, jak w instytucie damy klasowej, pani Werner.

Drażniło go każde jej odezwanie w towarzystwie, jej obecność nawet.

Gdy znajdowali się sam na sam, był nie mniej dziwny. Całował ją - namiętnie, bez pamięci, lecz gdy usta od jej ust oderwał, padały z nich słowa przykre.

— Po co na mnie patrzysz przy ludziach, —mówił szorstko,—na co te demonstracye? Czy my tu jesteśmy, żeby wystawiać nasze uczucia na pokaz... Bobyś lepiej siedziała w swoim pokoju. Gdy zechcę, znajdę sposób zobaczenia się z tobą.

Stosowała się do jego woli—pokornie, bez wymówki, nawet bez żalu.

Nie przyszło jej nawet na myśl, że można mu się opierać, odcinać, że można walczyć. Nie umiałaby. Ona umiała tylko cierpieć, i chudnąć, i blednąć — i płakać nocami.

Była bardziej smutną z powodu jego zachowania, niż upokorzona niem, a smutną bardziej dlatego, że nie może z nim często rozmawiać, jak tem, że on nią poniewiera.

W stosunku do niego zatracała miłość własną, godność, ambicyę: była jego rzeczą. Wolno mu było robić z nią, co chciał. Nie zdawała sobie sprawy z tych uczuć, ale były w niej silne. Miała duszę miłującej niewolnicy, dla której rozkoszą — jęczeć pod batem tyrana. Nie darmo od dzieciństwa kazano jej chodzić w jarzmie niewoli. Wszelka niewola zawsze znieprawia.

Za nadejściem lata, widywali się przelotnie, w ogrodzie, na werandzie.

... Uścisk dłoni, spojrzenie — to jej musiało wystarczać niekiedy na całe tygodnie.

Pani Marta robiła jej z początku wyrzuty, że stroni od towarzystwa; ale po pewnem czasie i ona zaczęła ją uważać za nauczycielkę — nie za przyjaciółkę, jak dawniej...

— Ma prawo, — myślała Dola.

A jednak coraz częściej płakała w swoim pokoju.

. . . .

— Panno Adelo, proszę zabrać dzieci, — rzekła do niej raz pani Marta w obecności pana Kazimierza.

Nie łatwo było spełnić rozkaz wobec niesforności dziewczynek.

— Że też pani nie umie dać sobie z niemi rady. Trzeba mieć więcej taktu, powagi,— zgromiła ją pani Dropińska głosem podniesionym.

Z drugiego pokoju, goniąc dzieci dokoła jadalnego stołu, Dola usłyszała, jak on mówił:

— Pani niebawem każe pannie Żalińskiej zamiatać pokoje.

— A pan — jakim prawem mi zabroni?.. Czy jako narzeczony?

— Prawem wspólności krwi szlacheckiej. Nie pozwoliłbym ubliżać żadnej kobiecie — z mojej sfery. Przodkowie pani przywykli słuchać rozkazów, — dlatego pani nie rozumie, jakie to upokarzające... A może pani chce wziąć odwet za upokorzenie przodków...

... Dola nie słyszała dalszej rozmowy. Dzieci dały się wreszcie wyprowadzić.

. . . .

Tego wieczoru siedziała na odległej ławeczce.

Nagle głos drogi szepnął po ukraińsku:

— *Choć ono meni ne myłe, pry meni joho ne byjte* *).

Ramiona oplotły jej szyję i usta, przy jej ustach mówiły:

— *Ale ono meni myłe! myłe!* I biedne, takie biedne!

Świetlana smuga padła znowu na serce Doli, osuszyła jej łzy.

Lekceważący ton, w jakim p. Kazimierz odzywał się do Doli w towarzystwie, oddziałał na panią Martę. „Traktowała“ ją coraz bardziej z góry. Wzamian jej mąż stawał się coraz uprzejmiejszy dla ładnej nauczycielki. „Nabierał manier“ — jak myślała Dola.

. . . .

Pewnego dnia — a było to już pod jesień - p. Kazimierz, idąc do ogrodu, spotkał wracającego, jak zwykle ze stajni, p. Dropińskiego.

Wytworna sylwetka Doli zarysowała się wgłębi szpaleru.

Obaj mężczyźni pogonili za nią okiem.

*) „Choć mi ono niemiłe, bić go w swej obecności nie pozwolę“. Przysłowie ukraińskie, charakteryzujące uczucia solidarności — małżeńskiej, rodzicielskiej, lub innej, które się budzą, gdy drugiej osobie dzieje się krzywda.

— A niechże ją djabli — to jednak niebrzydka dziewczyna. — A jak to chodzi z łopatek!—zawołał p. Dropiński.

P. Kazimierz przystąpił do niego i, zapuszczając wzrok chłodny w jego wyłupiaste oczy, wycedził przez zęby:

— Cóż to? Dziewek folwarcznych zabrakło, że pan zwracasz uwagę na panny z wielkich domów? Nie radzę, bo ze mną sprawa. Zrozumiał pan?

Odwrócił się i zostawił koniarza w pasyi głupiej, bezradnej.

. . . .

Wieczorem p. Dropiński, mówiąc ze swym najszczerszym przyjacielem i przysięgłym *maître de plaisirs* lokajem Tomaszem, wyrażał bardzo pesymistyczny pogląd na „gości swojej żony“.

— To wszystko holota. Objada się, spija moje wina, „nagaduje“ się z moją panią o różnych mądrościach...

— Gdybyż to tylko gadali, proszę pana...

— Mnie to nie mają za psi pazur—ciągnął dalej, udając, że nie słyszy insynuacyj famulusa. Muszę nakoniec im pokazać, co to ja. Zobaczysz...

— Et, proszę ja pana, nic nie zobaczę. Niech no tylko pani spojrzy po swojemu, a położymy uszy po sobie.

— Dureń jesteś. Zawsze ci to mówię.

— Może dureń, ale ja tam nie kiwam palcem w bucie. Ja nie byłby taką „lemieszką“. Jaby tę całą zgraję oddawna przepędził won... A to tylko ściel im łóżka, buty czyść a noś herbatę... Czyste skaranie...

— Skończy się to, skończy mój Tomaszu..

— . . . Skończy się na święty Jury, kiedy w niebie będą dziury...

— A wiesz, ten Jarnowski, to chyba ożeni się z panną Dolą.

— Ożeni! Zaraz ożeni. Ożeniłby się może... Ale od czego nasza pani? Ho! ho! Ma ona głowę na karku... Niby to ich swata, a tak następuje na pięty, tak kręci, żeby z tej mąki chleba nie było... Bo pan za dobry... „Dawaj pieniądze... dawaj bryljanty... cugi... A co ja wyprawiam — tobie djabli do tego...“ Oj, mądra ona, mądra! Pan nie da na nią człowiekowi marnego słowa powiedzieć... A mówić... ho! ho! byłoby co mówić do jutra... Bo to czort wie poco było się żenić z tą dochtorską córką... Albo to nam źle było przedtem w świętym stanie kawalerskim?... Wszystkiego, o czem dusza zamarzy, — po same dziurki od nosa... Dziewcząt—to we wsi ubyło... Czy co?

— Tomek, powiadam ci stul pysk, bo dostaniesz po mordzie.

Widocznie Tomasz nie usłuchał ostrzeżenia, bo nazajutrz chodził spuchnięty... z jednej strony i opowiadał klucznicy:

— Ja do mojego pana, z dobrem słowem, jak do anioła. A mój anioł mnie—w pysk.

Nad dworem bołhańskim zawisła chmura. P. Dropiński był w najgorszym humorze.

— Tylu trzymam łajdaków — burczał podczas obiadu — a do ust nic wziąć nie można... Jakaś zdechła krowina, czy co... Bo też nikt nie dojrzy... Wszystko wielkie państwo... Jak się raz zabiorę, to wymiotę—co do nogi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRÓLEWICZ.

(NIEDOKOŃCZONA MELODYA).

Otwarłam tobie moją duszę,
Jak leśny kwiat.
Otwarłam tobie moją duszę,
A dziś, a dziś ja odejść muszę,
Nie oglądaj się za mną wstecz.

Otwarłam tobie moją duszę,—
Bądź pozdrowiony!
Oddałam tobie moją duszę,
Jak nie oddaje się nikomu
Wprzódy, nim spłynie blask
Wielkiego ukochania,
Nim morze łask
Rozleje się po nad nami...
...Byliśmy sami
W obcych ludzi tłumie
Który nic nie wie
i nic
nie rozumie,
Prócz swojej nędzy. Byliśmy duchami!...

Pamiętaj! Niechaj żadna myśl nie splami
Tego wspomnienia, kiedy tajemnica
Niemej przysięgi dłonie nam związała
I upojeniem szczęścia trysnęła nam z lica,
Że, jako Mojżesz w otęczu promieni
Szliśmy przez życie dumni, zachwyceni!

Pamiętam! Dzień był i ziemia tak biała
Od śniegów, co się rozzłociły cudnie...
..Pamiętam... Było zimowe południe,
Niebo nad nami i my jako dzieci...
Pomnisz? — choć miłość, niby ptak, uleci,
Pamiętaj! Takiej chwili wśród stuleci
Nie znajdziesz. . . . .
Żegnaj, mi, żegnaj...

Nie mam do ciebie żalu,
Nie mam żalu do ciebie
Ni na ziemi, ni w niebie,
Ani w krwawym koralu,
Serdecznego zmęczenia,
Które myśl przepromienia
Nie mam do ciebie żalu.

Wdzięczna ci jestem...
Za złote strzały nadlazurnych wzlotów.
Za myśli błyskawicowe,
Co uwieńczyły koroną z promieni
Rozkwitłych, naszą głowę —
Wdzięczna ci jestem.

Iżeś był kwiatem porankowej zorzy
Na ducha mego łanie,
Iże wywiodło mię twoje kochanie
Z błękitnych bezdroży
Na kwietny smug
Łaski Bożej —
Wdzięczna ci jestem.

Iżeś ty pierwszy naznaczył mię chrzestem
Przeogromnego duszy zachwycenia,
Żeś mię upoił nieznanym szelestem
Młodzieńczej krwi i płomienia —
Wdzięczna ci jestem!
Żegnaj mi, żegnaj...

O mój panie, jasny panie,
Królewiczu włady!
Kłaniam ci się do stóp,
Kopię cichy, grób
Naszemu kochaniu.

Hej! zadepczmy mogiłę,
Zatrzyjmy wszelkie ślady,
Śpiesz się, śpiesz,
Ciesz się, ciesz
Królewiczu blady!

O mój panie, panie mój!
Nie mam do ciebie żalu:
Na twojem czole wieczny znój,
W twoich źrenicach łzy i żal,
U twoich lic
Wieczne pytanie:
„Co jest? co było? co się stanie?“
...Ja nie wiem nic, nic —
Jestem jak łuska zmęczonych fal,
Odchodzę w dal.

O panie mój, panie złoty,
Królewiczu cny.
Zkąd ten żal, zkąd te łzy?
Schłostałeś mnie biczem
Krwawej tęsknoty
I płaczesz?
Nie wiem nic — nic,
Jestem niczem,
Jestem wiecznem dążeniem w dal.

Oddałam tobie serce moje,
Jak nie oddaje się nikomu.
Biada mi, biada!
Dusza wyje we mnie, jak pies
Na zgliszczach zgorzałego domu,
U mego proga
Przysiadła Troska sina, blada
I wyciągnęła w dal ramiona
Pochyla głowę siwą.

Za pierwszym razem — pobladły kwiaty,
Za drugim — spłonął dworzec bogaty,
Za trzecim — legły w perzynie ściany.
Biada mi, biada!
O królewiczu mój
Umiłowany!
O królewiczu mój!
To był dom,
To był zdrój
Szczęścia naszego!...

Otwarłam tobie moją duszę
Jak nie otwiera się nikomu;
Oddałam tobie serce moje.
Wobec szczęścia niczem jest mój żal,
Odchodzę, bo odejść muszę —
Odchodzę w dal.

Przede mną światy się złocą,
Przedemną dusze się palą —
Jestem uniesiona wielką mocą
Tęsknoty za nowem życiem —
Ulatam w dal.

Stefanja Podhorska-Okołów.

Życie umysłowe na wsi.

Smutną jest nasza wieś gdy jesień rozpostrze nad nią swoje szare skrzydła. Dopóki trwa ciepła pogoda, wspaniała dekoracya przyrody zakrywa swym przepychem całą prozę życia codziennego i gospodarczych zabiegów, ale w naszym klimacie widowisko cudów przyrody trwa bardzo krótko, a gdy zima zapuści nań swą śnieżną kurtynę, czeka nas długi, kilkomiesięczny antrakt zimowy. Ruch gospodarczy zwęża się i zamyka w obrębie domu i podwórza, a cały obrót codziennych zachodów kończy się z nastaniem zmierzchu. Zaczynają się długie wieczory — bezdenne w swej monotonji, nuda kołace do drzwi, a czas staje się nieprzyjacielem, z którym walczyć trzeba.

Zaczyna się więc forsowne t. z. zabijanie czasu: panie wymyślają sobie różne możliwe robótki, a panowie grywają w karty, przerwy urozmaicając sobie narzekaniem na ciężkie czasy (na wsi są zawsze ciężkie czasy).

Młodego pokolenia nie zadawalniają te przyjemności i dlatego to, z nastaniem pory jesiennej zaczyna się masowa dezercya do miasta.

Ta epidemja emigracyi zimowej ogarnia przedewszystkiem młode panny które skończywszy pensję, przebywają w domu bez określonego zajęcia. Trudno się dzisiaj dziwić, że umysł rozbudzony tęskni za szczerem życiem myśli, pragnie dalszego rozwoju i dusi się w sennej atmosferze życia wiejskiego.

Stolica nasza, ze swoim żywo tętniącym ruchem umysłowym, licznie pootwieranemi kursami naukowemi, ze swą powodzią odczytów i wykładów wszelkiej treści, stanowi bezwątpienia ogromną ponętę dla osób myślących i inteligentnych.

Nie każdy jednak może sobie pozwolić na coroczne przebywanie zimą w Warszawie, a niejednemu przychodzi to z wielką trudnością. Życie i mieszkanie jest w naszej stolicy bardzo drogie, a osoby nie mające dostatecznych funduszów muszą się ściśle ograniczać; pomimo to, wiele panien średnio zamożnych woli walczyć w mieście z niedostatkiem i niewygodą, niż „pleśnieć na wsi", słuchać narzekań na ciężkie czasy i dla odmiany, anegdotek kumoszek-sąsiadek.

Ta emigracya młodych żywiołów sprawia, że wieś jeszcze więcej pustoszeje, a jej życie umysłowe w coraz głębszą zapada drzemkę. Tymczasem faktem jest, że praca umysłowa nie wymaga koniecznie przebywania w mieście, a w celach dalszego kształcenia możnaby doskonale wyzyskać te warunki, które właśnie daje wieś, t. j. ciszę, spokój i jednolitość wrażeń.

Pracownicy inteligencyi w mieście mieszkający, nieraz z gorącą tęsknotą myślą o tych warunkach, i gdyby tylko mogli, chętnie przerzuciliby się ze zgiełkliwej miejskiej kamienicy, w ciche ściany wiejskiego dworu. Praca umysłowa polega bowiem głównie na wysiłku i skupieniu naszej własnej myśli; wszelkie wykłady, odczyty, książki są tu tylko środkami pomocniczemi. Otóż pewną część tych środków pomocniczych można z łatwością mieć i na wsi. Potrzeba samokształcenia jest dziś szeroko przez piśmiennictwo nasze uwzględniana i obecnie posiadamy już specyalne wydawnictwa, mające na celu zaspokojenie tej potrzeby „Poradnik dla samouków" który w każdej księgarni nabyć można, jest bardzo dobrym przewodnikiem wszystkie działy wiedzy obejmującym i doskonale do potrzeb samokształcenia dostosowanym.

Ale młodzież się żali że wpływy otoczenia niekorzystnie działają na jej rozwojowe dążenia, że braknie jej podniet do pracy, odczucia i zrozumienia jej myśli.

Młodzież potrzebuje odpowiedniego nastroju do pracy umysłowej, oto rozwiązanie zagadki; ona potrzebuje żywego słowa które zawsze ma swój urok i odgrywa rolę podniety, ona potrzebuje wymiany myśli i rozrywek w szlachetnym stylu.

Otóż sądzę że taką atmosferę sprzyjającą pracy umysłowej i na gruncie stosunków wiejskich wytworzyćby można, prowincya nasza niejednokrotnie bowiem daje dowody że nie zbywa jej na jednostkach wyższej intelektualnej wartości. Nasi posłowie prowincyonalni wykazali w dwóch kadencyach parlamentarnych wiele poważnych zasobów wiedzy, a ziemianki nasze na swych zjazdach występują z doskonale opracowanymi referatami.

Dowód to że prowincya posiada dosyć sił na to aby wytworzyć własne ogniska ruchu umysłowego. Chodzi tylko o właściwe uruchomienie tych sił, o wciągnięcie w życie umysłowe i tych licznych jednostek, które dziś w bezczynności marnieją bezpożytecznie. Zasoby umysłowe bowiem uszczuplają się w takiej bezczynności; w drodze naszego rozwoju niema punktów martwych i nieruchomych; kto nie postępuje, ten się cofa, — kto nie zasila swego umysłu nowymi nabytkami, ten traci powoli i te które dawniej posiadał.

Dzisiaj ziemianie nasi starają się przeważnie nietylko o specyalne lecz i ogólne wykształcenie, żadna sfera myśli obcą im być nie powinna. Należy tylko strzedz się zastoju umysłowego, tego niebezpiecznego punktu martwoty, od którego to zdobyta podstawa naukowa pleśnią zastałości porastać zaczyna. Od tej zapleśniałości uchronić tylko może wzniecenie ruchu umysłowego któryby podążał za ogólnym biegiem postępu i rozwoju.

Licznie zakładane teraz stowarzyszenia ziemian i ziemianek mają przeważnie na widoku interesa ekonomiczne i oświatę ludową; trafia to wprawdzie w potrzeby na razie najpilniejsze, ale nie zaspakaja wszystkich pragnień człowieka kulturalnego na prowincyi. Należałoby jeszcze zakładać stowarzyszenia o charakterze naukowo-literackim; mogłyby to być drobne ogniwa jednej większej całości, kółka sąsiedzkie składające się z kilku lub kilkunastu domów, będące w kontakcie z sobą za pośrednictwem zarządu centralnego, znajdującego się w gubernialnem mieście. Kółko takie posiadałoby przedewszystkiem składkową czytelnię, zasilaną ciągle doborowemi działami i najnowszym piśmienniczym dorobkiem, urządzałoby zebrania na którym członkowie wygłaszaliby referaty a następnie prowadzili dyskusye o tematach w odczycie poruszonych, lub o kwestyach które bieg życia społecznego na porządku dziennym stawia.

Umiejętnie prowadzona wymiana myśli i poglądów; mogłaby nadać tym zebraniom sąsiedzkim ton poważny a zarazem ożywiony i zajmujący, życie towarzyskie zatraciłoby powoli ten bezmyślno-plotkarski charakter, którym się dzisiaj przeważnie odznacza. Młodzież wynosiłaby z tych dyskusyj niejedno ziarnozdrowej myśli, czerpałaby z nich podnietę do dalszej pracy umysłowej, a jeżeliby się kiedy jej poglądy jaskrawo przeciwstawiały poglądom starszego pokolenia, to nawet i w takim razie lepsze jest otwarte starcie, niż tajone niedowierzanie i wzajemne lekceważenie.

Zebrania takich kółek sąsiedzkich mogłyby stanowić bardzo pożądany łącznik między starszymi członkami a młodzieżą, ale, by temu zadaniu odpowiedzieć, powinny poczynić pewne ustępstwa dla upodobań młodej generacyi i nie nosić uroczysto pedantycznego charakteru. Należałoby zostawić w nich szerokie miejsce dla działu artystyczno-literackiego, wprowadzić do programu czytania utworów poetyckich i dramatycznych, ocenianie ich i deklamacyę pojedyńczych ustępów.

W Warszawie wprowadzono w niektórych kółkach zwyczaj czytania utworów dramatycznych na głosy; młodzież ogromnie lubi ten rodzaj czytania, ale na wsi byłyby pewne trudności przy zastosowaniu go, gdyż trzeba rozporządzać kilku egzemplarzami danego utworu.

Programy takich rozrywek umysłowych musiałyby się naturalnie zastosowywać do miejscowych warunków, a przy dobrych chęciach wiele w tym zakresie zrobić by można.

Wiem naprzykład, że w niektórych miejscowościach na wsi urządzano bardzo udatne obchody jubileuszowe Orzeszkowej; program wypełniały tylko miejscowe siły a składały się nań: odczyt, żywe obrazy i przedstawienie sceniczne jednego z utworów jubilatki. Możnaby w podobny sposób organizować i inne rocznicowe obchody i urządzać wieczorki Mickiewicza, Słowackiego i t. d.

Działalność kółek literacko-naukowych mogłaby w wielu wypadkach łączyć się z działalnością kół oświatowych, a niezależnie od zebrań zakroju poważniejszego, możnaby urządzać także serye odczytów popularnych, co zresztą w wielu okolicach już w czyn wprowadzono. Udział młodzieży obojej płci w działalności oświatowo-kulturalnej jest niezmiernie potrzebny i pożądany, ale należy także uwzględnić jej własne potrzeby duchowe. Młodzież tylko wtedy przestanie tłumnie uciekać do miasta, jeżeli znajdzie na miejscu te czynniki życia umysłowego których tak słusznie pożąda, szlachetne i kształcące rozrywki, wymianę myśli i zrozumienie ducha czasu ze strony starszego pokolenia.

Z. Bielicka.

CECYLJA WALEWSKA.

„Moje służby".

(Dokończenie).

Równie interesująca jest galerya pań, które według systemu Barbary dzielą na „mądre dla siebie a złe dla sługi", i na „głupie dla siebie a dobre dla sług". Są podobno mądre panie takie, co komenderują wszystkiem, a nie znać ich i prawie, że do kuchni nosa nie wtykają, chyba, żeby zobaczyć, czy czysto w każdym kącie.

Barbara słyszała o takich, ale sama nie natrafiła na żadną. Za to Marcysia w swej wędrówce od służby do służby do takiej wzorowej pani się dostała. Jestto rodzina przyszłości: pan ma miejsce w fabryce, pani skończyła zagranicą dwie szkoły, daje lekcye i zarabia tyle co pan. Jest dwoje dzieci, trzy i dwuletnie, do nich taka wdowa, która musi słuchać, co i jak trzeba z dziećmi robić, bo pani we wszystkie szczegóły wychowania wnika i sama tem kieruje, również jak prowadzeniem domu. Ponieważ Marcysia jest słabego zdrowia, przychodzi froter i praczka, a gdy więcej ciężarów—pani każe brać człowieka z targu. „Pani na wszystko znajdzie czas, wieczorem jak wraca, to zawsze dwa razy na tydzień ma ze mną lekcye i jeszcze kazała przychodzić innym dziewczynom z tej kamienicy". Staśkowi wolno przychodzić co drugą niedzielę, pani obojgu posyła herbaty, bułek i „Zorzę",—codziennie też od 5 do 7—ma służąca dwie godziny czasu dla siebie, żeby mogła coś uszyć, sporządzić. A jednak w tym domu, tak humanitarnie rządzonym przez dobrą panią—nie czuje się Marcysia szczęśliwa; nudno—systematycznie. Ona — zdolna, ale z popychadła wyrosła—nie lubi ciągłości, —czasami robota jej się pali w ręku, ale nie codzień, jest niedbała, nieuważna, to ją naraża na wymówki i naganę dociekłej, pracowitej pani. Wreszcie pokusa korzystnego miejsca „młodszej" u bogatych żydów, takich co są „niemieckie", chociaż mówią po polsku,—skłania Marcysię do opuszczenia modelowego domu.

Niepodobna zatrzymywać się nad wszystkiemi typami, choć wiele zasługuje na podkreślenie, ale nie można wprost nacieszyć się dość osobą tej typowo polskiej „starszej pani" matki p. Wandy, p. Heni, p. Tymka i „dwóch młodszych", która ma na stancyi panienki ze szkoły sztuk pięknych, i prowadzi zabiegliwie, niezmordowanie swoją „polnische Wirtszaft", haruje wraz ze służącą od rana do nocy, aby wszystkich obsłużyć, jakoś koniec z końcem związać, dzieciom wesołą młodość dać, panny wykształcić i powydawać o ile się da, za jakich skromnych chłopców.

Cała ta „stancya" z charakterystycznymi typami panien malarek, z wesołem życiem tego młodego świata, kosztem dreptającej matki, która w tym całym jarmarku czuje się jak w raju i zabiega co sił starczy, cały ten ton życia i świat pojęć przeciętnej burżuazyi, odmalowane zostały prawdziwie i artystycznie. W kilku może miejscach troszkę zanadto Marcysia szybkie czyni postępy w przyswajaniu wyrażeń i tonu panienek, wogóle jednak rzecz nakreślona z werwą, zupełnie nas tak samo interesuje i bawi, jak Marcysię, która mimo nadmiernej pracy, w tem wesołem otoczeniu czuje się w swoim żywiole. Starsza pani, choć poczciwa, odprawia jednak sługę, wyjeżdżając na lato, aby sobie oszczędzić coś na zimowe herbatki. Jej dobroć mieści się raczej w poufałości, ale do takiej pani Marcysia ma większe zaufanie, niż do tej wzorowej, czuje się jej blizka; razem się napracują, razem nagadają, wiedzą nawzajem wszystkie swoje kłopoty i tajemnice. To też Marcysia po wielu innych służbach wraca do starszej pani, która panny powydawała z domu, stancyę zwinęła, roboty niewiele. „Sprzątnąć trzy pokoiki, paniczom buty poczyścić. Pani starszej nie trzeba: „spódnicę w błoto podnosi na gumach aż pod sam pas, buciki ma prunelowe i sama z kurzu wytrzepie". Czyż potrzeba więcej, aby się tę imościunię widziało jak żywą! Od niej już wychodzi Marcysia za mąż za tego ślusarza, co go odbiła starej Kaśce, a co ma oczy takie podobne do oczów pana Feliksa, tego od którego się pamiętnik zaczyna. Pan Feliks, syn domu, grał na skrzypcach w orkiestrze teatru Wielkiego, podkochiwała się w nim Marcysia, ale on palił się do przyjaciółki jej od serca, Ceśki. Dawał złotówki, zabierał dziewczęta do cukierni: w oczach Marcysi rozwijał się romans.

Wyrzucona ze służby przez matkę p. Feliksa—Marcysia, wśród różnych kolei swego losu—śledzi losy Ceśki. I tak przewijają się sceny, z których kilka robi wrażenie wstrząsające: To wybuch płaczu Ceśki na Halce, gdy już się kochają z panem Feliksem — to później krótkie spotkanie — gdy Ceśka przychodzi godzić się na mamkę i zobaczywszy w kuchni przyjaciółkę pędem ucieka ze schodów,—to wreszcie w lat parę scena na ulicy— gdy Marcysia poznaje Ceśkę w powozie na gumach — mimo przefarbowanych włosów— a poznaje po białych rękawiczkach: „ma ręce jak Ceśka i tak samo trzyma je na kolanach, jedna na drugiej na krzyż".

A pan Feliks? Ożenił się z jedną z córek „starszej pani", panną Wandą, która skończyła konserwatoryum — i też daje lekcye, grywają razem, on na skrzypcach, ona na fortepianie i są bardzo szczęśliwi. Umiesz Marcysiu tajemnicy dochować, — mówi pani Feliksowa, — żebym się tak była dowiedziała od ciebie dawniej, jak to mój mąż wam teatr fundował, do cukierni prowadził — jak tę twoją Ceśkę zbałamucił — napewno nie byłabym za niego wyszła. Dziś — rozumiem, że mężczyzna nie może żyć, jak święty i wszystko mojemu panu wybaczyłam, ale wtedy..." I spojrzała na niego, on na nią, zaczęli się całować, a we mnie serce jakby obcęgami ściskał: tak mi się żal zrobiło Ceśki".

Tę krzywdę, jaka bez zastanowienia sumień uczciwych ludzi, dzieje się w tych porządnych, szanownych domach dziewczętom, pozbawionych wszelkiej opieki,—maluje dzienniczek Marcysi z prostotą i prawdą wstrząsającą.

Charakterystyczna jest rozmowa z Marcysią „starej pani", gdy ją bierze z powrotem: „U mnie teraz służba lekka... dom mały, herbata najpóźniej o 8-ej. O dziewiątej służącę zamyka się w kuchni, bo zawsze jeszcze zamykać trzeba. Już nie przed Tymkiem, bo on oddzielnie, ale przed temi młodszemi smarkaczami. Oni to jeszcze chyba gorsi!... Ale porządna dziewczyna da sobie radę: ty przecież potrafisz". Tak więc jedyne wyjście — jeżeli dziewczyna mądra—i potrafi się bronić. „Jak pani starsza — weźmie do służby takie młode 16—17 lat—popychadło—żadne się nie ustrzeże". Ale bywają domy — „gdzie żadna się nie obroni"; — w takim Marcysia tylko cztery dni wytrzymała i uciekła, bo choć służba lekka—„z panem i paniczami rady sobie dać nie mogła".

A w całem tem opowiadaniu, tak epicko traktującem tę sprawę, niema ani słowa przesady, żadnego patosu; rozsądna Marcysia takie robi na temat „podwójnej moralności" uwagi: „Jak wyjdę od tych studentów nieraz sobie myślę, dlaczego porządna dziewczyna nie zaczepi nigdy mężczyzny, a najporządniejszy mężczyzna nie przejdzie koło dziewczyny, żeby albo nie uszczypał, albo jeszcze co gorszego? Tak się ludzie umówili że mężczyźnie wszystko wolno, a kobiecie nie. Barbara nieraz gadała, że matki winne, że synowie nie umieją uszanować młodych dziewcząt. Każda powinna chłopakom w głowę kłaść, że to grzech kusić kobietę. Jakby tak nasiąkł tem od pieluch, toby mu potem złe do głowy nie przychodziło". Pobłażliwy uśmiech pani Feliksowej — i uwagi „starszej pani" — zdają się świadczyć, że miała Barbara słuszność, winiąc matki.

Oczywiście Marcysiu, — twoja matka ci to wymodliła—ocalałaś przypadkiem, czy cudem, —co miało paść na ciebie — padło na Ceśkę.

J. Oksza.



KAZ. PRZERWA-TETMAJER: NA SKALNEM PODHALU. IV.

O LUDZKIEJ BIEDZIE.

— No to jek sie juz skońcél!—szepnął zapiekłemi wargami — Od teraźnia jus po mnie, a i po dzieciak... Poniewirała mie biéda, teroz mie be poniewiérać i poniewiérka ludzko... Juz sie sytko załomiło nademnom... Hej wiera sytko... Nimas nieba nademnom, ani ziemie pod mojemi nogami... Zginonek z dusom i ciałe...

Czy się ze skały ka w żleb, w rumowisko prasnąć?...

Ale hań dzieci, Jaś i Zosia, obidwa...

Takie małe, takie głodne, takie same, nieszczęśliwe, opuszczone... Jaś i Zosia... Jakoz sie to wyhowo? Ka sie to podzieje? Po pytaniu *) nie pudzie, bo małe, jesce i to zima hnet... Ludzie tego do sobie nie weznom, a jakby wzieni!... Jezus Maryjo! Dyj by zakopali, zabili, doponiewirali tak, co raty na świecie! Dyj by sie to zapłakało, łzami zadowiło, dyj by to pomarło. O Boze, Boze!...

I hań w izbie siedzom same, samiućkie, małe, głodne, zmarźnione i płacom i krzicom: tata! tata!...

Kanyzek jest?

He! Kiele jek dale od hałupy! Dydzieg pod Wantom! A wtorendejek leciał, ani niewiem!

I wziął się Marcin Mudroń ku domowi, ku wsi, wprost przez lasy, na łeb na szyję.

Przyleciał już późno w nocy, prawie ku raniu. Wpadł do izby. Dzieci wewlekły na się ojcową czuchę i spały — nie na łóżku, ale na gołej podłodze w kącie, przytulone do siebie ze strachu, jedno przy drugiem, że ani byś szpilki nie wraził między nie.

Marcin Mudroń popatrzył na nie — szarzało już w izbie.

A potem gruchnął na kolana z jękiem: Panie Jezu, Ojce świata, Naświentsa Panno Maryjo i Ty, Świenty Jantoni, patrónie złodzieji, dospomózciez mi! Dospomózciez mi! Dospomózciez mi! Na ty dzieci moje Wos zaklinom hań śpionce! Na ty dzieci moje!

I zerwał się z podłogi, chwycił narzędzia ciesielskie i skoczył ku figurze Świętego Antoniego. Nowa wiara, nowa siła weń wstąpiła. Już wiedział, co było źle, co trzeba poprawić. Nic to, że farby popsuje — jak zobaczą, że je dobrze wyrzezany, to już bedzie! Pawlik mu na farby da, Pawlik...

W Pawlika wierzył. Nie przyszedł on oglądać Świętego Antoniego, bo go wójt nie zawołał.

He — myślał Mudroń — Pawlik, ze jino piérze babom, prosie ka na jarmaku, spyrke ka gazdowi z kumory ukrod, to go nie wołali — a Harbut, co po Luptowie zbijał — gazda!... Tak to wej, tak...

I krzesał. Od nowa, Od cała... W klocu drewnianym w natchnieniu jakiemś począł wykuwać ludzkie ciało, począł je czuć pod ręką.... Dłutem je wystrugiwał, nożem ostrym wypęczniał... I jakiś jakby las świętych zamajaczył przed nim... Las drzew, las jodeł hrubych, starodawnych, a w każdej święty zaklęty, jak żywy.... A za sytkie te jedle po dziesięć madziarskich dukatów....

Nagle zamroczyło mu się w oczach, w mózgu...

Otwarł oczy – wznak był twarzą ku słońcu, które dopiero co wstało, głową na mokrej trawie pod figurą Świętego...

Otwarł oczy — wznak był twarzą ku słońcu, które już było na niebie, na mokrej trawie pod figurą... Dzieci były przy nim...

Otwarł oczy — wznak był twarzą ku słońcu, Zosia stała mu wedle boku z palcem w buzi, a Jaś siedział tuż przy nim z brodą opartą na rękach i patrzał nań wielkiemi oczyma.

I usłyszał Mudroń, jak Jaś się pyta: Tato, śpicie? Nie śpicie jus?

I znów otwarł oczy. Słońce było prawie w tem samem miejscu, co przed tem, trawa pod głową suchsza, mała Zosia dotykała mu rączką twarzy, płacząc pewno z głodu, a Jaś siedział nad nim, jak pierwej, nieruchomy, z brodą opartą na rękach i wpatrywał się weń wielkiemi oczyma.

— Konam—przemknęło Mudroniowi przez mózg.

Zląkł się straszliwie, chciał się podnieść, dźwignąć na łokciach — ale ciemno stało mu się w oczach.

Potem usłyszał, ale Jaś dziwnie cicho mówił, snadź do kogoś: Tata lezom i śpiom, od rania...

Zosia płakała.

Kaz tyn Świenty Jantoni, coby dzieci na ten hań kwitnoncom łonke wiód?... Za rencycki... Po lawéj stronie Zosia, po prawéj Jaś... W ten niedziele.... We złotom gme..*) Kajsi het.. W radość....

— Serce w nim pukło — poznał nad sobą niezmiernie cichy Pawlika głos.

A potem stało się w Marcinie Mudroniu zupełnie cicho.

KONIEC.

*) po pytaniu — po prośbie.

*) gme — mgłę.



Władysław Bogusławski.

(Sylwetka jubileuszowa).

W królestwie sztuki i literatury zdarzają się niekiedy, jak w domach panujących dynanastye „z Bożej łaski"; zdarzają się o wiele rzadziej, niż rodowe dziedzictwa berła i tronu, bo są zawarunkowane czemś bardzo rzadkiem a bardzo cennem. czego ani nabyć, ani zabrać, ani narzucić nikomu nie można, co potrzeba koniecznie ze sobą na świat przynieść,—mianowicie talentem.

Jedną z takich dynastyj historycznych w państwie żywego i pisanego słowa u nas, w dziedzinie literatury i teatru, przez przeciąg półtora wieku prawie, stanowią Bogusławscy.

Trzy pokolenia tego szlachetnego rodu mają prawo kolejno chlubić się swoimi przedstawicielami, począwszy od założyciela sceny polskiej i narodowego teatrum, które jako świątynia sztuki przetrwało wszystkie burze i kataklizmy, co tyle innych instytucyj w gruzy rozwaliły; począwszy od Wojciecha Bogusławskiego, którego zasługi tak wymownie choć krótko streszcza lapidarny napis na grobowej tablicy: „Krzywdzące scenę polską mniemania umorzył, pisał, grał i grających na czas późny stworzył".

Piękną tradycyę po wielkim rodzicu objął syn, Stanisław Bogusławski, żołnierz, poeta-artysta, komedyopisarz, oficer b. wojsk polskich, weteran z r. 1831-go, autor żywej dotąd na scenach „Opieki wojskowej", „Przyjaciółek", „Starej romantyczki" i wielu innych utworów satyryczno-obyczajowych, pisanych wzorową prozą lub gładko toczonym wierszem.

Trzecim zaś z rzędu, nieodrodnym potomkiem ojca i dziada, spadkobiercą nie tylko nazwiska,—złotemi głoskami błyszczącego w Panteonie mężów prawdziwie zasłużonych i Polaków powszechnej czci godnych, — ale i sławy swych przodków, której strzegł, jak rodzinnego skarbu i własną zasługą przysporzyć się go starał,—to Władysław Bogusławski, literat, krytyk, esteta w najpoważniejszem tych wyrazów znaczeniu. Prezes Kasy literackiej w Warszawie.

Przez ostatnich lat czterdzieści zajmował w piśmiennictwie naszem wysokie stanowisko wytrawnego znawcy literatury i sztuki, swojskiej zarówno jak obcej, jednego z najbardziej kulturalnych i wykształconych krytyków, jednego z najświetniejszych stylistów polskich.

Rozmiłowany w swoim zawodzie, niezmordowanie służył i dotąd służy ideałom piękna i prawdy, z młodzieńczym zapałem pomimo siedmiu krzyżyków na barkach wielbiący poezyę rzeczywistą i szukający jej wiecznych, ożywczych pierwiastków w twórczości geniuszu ludzkiego.

Ten kult dla wysokich ideałów podniósł też skalę jego krytycznych wymogów, uczynił go wybrednym rzecznikiem sztuki i literatury pięknej, sędzią surowym lecz sprawiedliwym, estetą o subtelnym smaku i artystycznej duszy.

Kiedy zaciągał się w szeregi „rycerzy ducha" z piórem w ręku przed laty czterdziestu, był już człowiekiem dojrzałym, który miał za sobą przeszłość, pełną sumiennej pracy, studyów i doświadczeń życiowych; przystępował do swego zawodu nie jak nowicyusz, szukający dla siebie dopiero drogi i środków rozwoju, ale przygotowany należycie do roli, której znaczenie i odpowiedzialność pojmował doskonale. Po ukończeniu w Warszawie szkoły realnej, kilka lat spędził w uniwersytetach: petersburskim i moskiewskim, na wydziale prawnym, a potem jeszcze wyjechał dla dopełnienia studyów do Heidelberga i Paryża, gdzie przez rok gruntownie badał piśmiennictwo i język francuski.

Powstanie roku 1863-go sprowadziło go z powrotem do kraju; w ówczesnym ruchu brał żywy udział, porwany nadzieją uzyskania swobody i oddany cały sprawie wolności, pełnił ważny urząd sekretarza wydziału prassy z polecenia Rządu narodowego. Uwięziony i oddany pod sąd, skazany został na karę śmierci, którą mu w drodze łaski zamieniono na pięć lat katorgi w Usolu pod Irkuckiem.

Na wygnaniu wśród towarzyszy niedoli poznał Dyonizego Henkiela, przypędzonego etapem pieszo aż z Kijowskiej gubernii, młodego poetę, idealistę, romantyka, o duszy kryształowo czystej, o sercu, jak Znicz płonącem miłością dla kraju, jednego z tych ludzi wyjątkowych, w których szczytne myśli łączą się zawsze z wzniosłemi uczuciami. Wspólność losu i usposobień zbliżyła ich i połączyła węzłem idealnej przyjaźni, która przetrwała dziesiątki lat do dnia dzisiejszego i utworzyła z nich parę Dioskurów, dopełniających się duchowo.

Od owych sybirskich czasów, stosunek Henkiela i Bogusławskiego zacieśnił się jeszcze bardziej po powrocie do kraju wspólną pracą, działalnością i dążeniami na polu publicystyczno literackiem; nie było jednego dnia, aby się nie widzieli, jednej myśli, którejby nie podzielili ze sobą, jednej kwestyi publicznej czy prywatnej, którejby nie roztrząsnęli wspólnie.

W roku 1869-ym Bogusławski na Petersburg powrócił do Warszawy; w księdze pamiątkowej wydanej przed kilkoma miesiącami dla uczczenia pamięci Jana Gadomskiego, b. redaktora „Gazety Polskiej", znajduje się głęboką ideą społeczną nacechowany obrazek ze stepów Barabińskich, w którym ułaskawiony wygnaniec odmalował jeden z epizodów tej drogi powrotnej, a który wymownie świadczy, z jakiemi uczuciami i z jaką dojrzałością umysłową przybywał do kraju dzisiejszy jubilat, mający stać się z czasem chlubą i powagą piśmiennictwa i dziennikarstwa polskiego.

Od tej chwili przez lat prawie czterdzieści nie wypuszczając pióra z ręki, Bogusławski zajmuje zaszczytne stanowisko pisarza na wysokim poziomie kulturalnym i literackim, pełniąc swą służbę publiczną zawsze z godnością wielką i głębokiem poczuciem odpowiedzialności za drukowane słowo.

„Gazeta Polska", „Kuryer Warszawski", „Tygodnik Illustrowany" i „Biblioteka Warszawska", której od r. 1890-go jest współredaktorem, korzystały głównie z jego współpracownictwa; przez krótki czas był kierownikiem tygodniowego pisma „Wieniec", któremu za pamiętną zasługę poczytać należy że wyprowadziło na widownię dwa tak wybitne talenty, jak Henryka Sienkiewicza, drukując pierwszą jego powieść „Na marne", i Andriollego, pomieszczając pierwsze ilustracye tego niepospolitego artysty.

Jakkolwiek talent Bogusławskiego, nie pozbawiony twórczych pierwiastków w początkach zwłaszcza pisarskiego zawodu, sięgnąć mógł w szersze kręgi i odznaczyć się na polu belletrystyki, czego dowodem pozostały próby nowelistyczne i powieściowe, przechowywane dotąd w rękopisie autora, z natury i skłonności obrał sobie przeważnie dziedzinę krytyki literackiej i artystycznej; przeważyły w nim atawistyczne względy, któremi wytłumaczyć się daje w potomku założyciela sceny polskiej to nadzwyczajne umiłowanie teatru i sztuki dramatycznej.

Teatr stał się dla Bogusławskiego przedmiotem gorliwych studyów, zajęcia i obserwacyi, ale teatr jako instytucya społeczno-artystyczna, jako świątynia sztuki i żywego słowa, mająca tak wielkie i ważne zadanie w kulturalnym rozwoju każdego oświeconego narodu.

On ten teatr ukochał dla jego tradycyi, dla jego wpływu i znaczenia, dla estetycznych rozkoszy, który dawać może i powinien, dla tych wreszcie wyjątkowych względów u nas, które ze sceny zrobiły katedrę języka ojczystego i w najcięższych warunkach naszego bytu pozwalały mu rozpraszać cieplejsze i jaśniejsze promienie z ogniska swojskości na ołtarzu sztuki.

Jako krytyk teatralny przeto Bogusławski ma najwięcej praw do uznania i publicznego hołdu po latach tylu niezmordowanej pracy i sumiennej opieki, jaką ze swego stanowiska otaczał scenę polską i twórczość dramatyczną, przejmował się jej losami zmiennemi, bacznie śledził jej rozwój i w swoich niezliczonych artykułach i studyach pozostawił nieoceniony materyał do historyi teatru polskiego w Warszawie.

Nie było premiery, wznowienia, debiutu, gościnnego występu, koncertu, któreby opuścił w ciągu lat czterdziestu z własnej winy, a do dnia dzisiejszego nie znużyły go te obowiązki, „nie przejadł" mu się teatr, choć ostatniemi czasy z coraz większym niesmakiem wychodzić z niego musi; zawsze z jednakiem zajęciem, z Jowiszową powagą i skupieniem przygląda się ze swego krzesła scenie i artystom, chłonąc w siebie wrażenia sztuki i oceniając ich rzeczywistą wartość estetyczną.

Feljetony teatralne Bogusławskiego w dawnej „Gazecie Polskiej", za czasów redaktor

stwa Lea i Henkiela, lub w „Kuryerze Warszawskim“, kwartalne przeglądy w „Bibliotece“, które dziś jeszcze stanowią ozdobę tego najstarszego i najpoważniejszego z miesięczników, cieszyły się zawsze wielką poczytnością i stanowiły istną wyrocznię w krytyce, nawet wówczas, gdy ta krytyka posiadała w swem gronie takich Arystarchów, jak Lewestam, Kenig, Kaszewski i im podobni.

Obeznany z ogólno europejskim ruchem i twórczością w dziedzinie sceny i literatury dramatycznej a badający nieustannie z jednaką gorliwością jej rozwój i najświeższe objawy, wyrobił sobie smak bardzo subtelny— szeroką skalę porównawczą, według której wiele przecenianych geniuszów i dużo rzekomych arcydzieł u nas stracić musiało na swojej wielkości.

Jako krytyk, Bogusławski też należał zawsze do śmiałych weredyków, którzy sobie za obowiązek uważają „rżnąć prawdę, o resztę nie pytać“; od tego surowego obowiązku nie powstrzymywały go nigdy żadne względy osobiste, żadne drażliwości, żaden wygodny oportunizm, który lubi często spoglądać przez palce i wykręcać się sianem. Miał co zganić, to ganił śmiało, ostro, szczerze, nie dbając o to, czy straci na popularności lub przysporzy sobie wroga, ale forma nagany była zawsze wytworna, nie obraźliwa, bardzo często zaprawiona attycką solą a nawet kostycznym dowcipem.

Porównywano go swego czasu z „wujaszkiem Sarcey'em“, dziekanem krytyki teatralnej w Paryżu, tylko że polski Sarcey miał o wiele więcej ogólnego wykształcenia, więcej poetyckiego polotu a przedewszystkiem głębszy umysł i subtelniejszą naturę artystyczną.

Polski Sarcey umiał przy całej analitycznej metodzie badania krytycznego, dawać szeroką syntezę całości, uogólniać swoje wnioski i zataczać szerokie widnokręgi ideowe przed oczyma czytelników i miłośników sztuki, a nadto był od francuskiego kollegi wielostronniejszym, nie tak zacieśnionym w obrębie jednego rodzaju, mającym zmysł tylko dla komedyi mieszczańskiej, którą skalpelem „zdrowego rozsądku“ rozpruwał z lubością w swoich feljetonach.

Bogusławski pisał o dramacie zarówno jak i o operze, o muzyce ze znawstwem i odczuciem fachowca, który przyniósł na świat duszę poety a instynkty artysty.

W krytyce literackiej pozostawi po sobie kilka prac kapitalnych, pomiędzy któremi pierwsze miejsce zajmuje studyum o „Fauście“, głębokie i oryginalne, z odmiennej strony objaśniające rdzennie germańską, a raczej teutońską naturę bohatera Goethowskiej tragedyi i jego psychologię na typowych znamionach całej rassy osnutą.

W krytyce teatralnej, oprócz tysiąca feljetonów, przeglądów, rozbiorów, gromadzonych sukcesywnie w miarę kalejdoskopowych zmian repertuaru w dramacie i operze, niepożytą wartość, jako dokument do dziejów teatru warszawskiego zachowa jego monografia talentów aktorskich z czasów najświetniejszych „Rozmaitości“; jest to jedyna praca Bogusławskiego, wydana w książkowej formie p. t. „Siły i środki naszej sceny“ przed laty 30-tu.

Dla dopełnienia jego pisarskiej działalności wspomnieć należy o tłumaczeniach dzieł poważnych, jak „Historya powszechna“ Schlossera“, Thierry'ego, lub studya wschodnie Vambery'ego, rzeczy wymagających i ścisłości wyrażenia, i znajomości przedmiotu od sumiennego tłumacza; dla sceny dał świetny przekład „Półświatka“ Al. Dumas'a (syna).

W roku 1876-m za prezesostwa Muchanowa wezwano Bogusławskiego na stanowisko dramaturga i reżysera teatru Rozmaitości, ale to, co się może wydawać rzeczą dziwną na zewnątrz, co zaś bywa zupełnie naturalną rzeczą w światku zakulisowym, stało się już po kilku miesiącach smutnym i niezaszczytnym dla sceny warszawskiej faktem; doskonały znawca teatru, wytworny i głęboki krytyk, wykształcony literat ustąpić musiał zbyt rychło z zajętej placówki, zrażony i zniechęcony trudnościami, jakie napotykał w atmosferze, przesiąkłej rutyną, wygórowanemi ambicyami i małostkową intrygą drażliwego aktorstwa.

Pomimo lat siedemdziesięciu, Władysław Bogusławski zachował do dzisiejszego dnia młodzieńczą świeżość umysłu i wrażliwość estetyczną, a nie odstępując od swoich postulatów krytycznych, wyrozumowanych i stwierdzonych przez długą obserwacyę i studya, miał tę rzadką zaletę, że bez uprzedzeń odnosił się do wszystkich ewolucyj literackich i artystycznych, które starał się zbadać i wyrozumieć, aby często wbrew swoim upodobaniom i skłonnościom oddać im wyraz uznania albo rzucić słowo zachęty, jeżeli tylko przemówił do niego prawdziwy talent, szczerość natchnienia i przekonań, wiekuiste piękno i prawda w sztuce.

Nieskazitelna prawość i wyrobiony charakter człowieka w życiu prywatnem i publicznem podnoszą powagę tego pisarza, który czystą i śmiałą ręką trzymał pióro, z jakiemś pietycznem niemal przeświadczenizm o jego poświęcanej godności, i dlatego dziś w dniu jego uroczystych godów z piśmiennictwem można się do tej ręki pochylić z hołdem czci i uznania.

Kiedyś, gdy nadejdzie chwila ściślego obrachunku z zasłużoną dynastyą Bogusławskich, kiedy twórca sceny polskiej w Warszawie doczeka się godniejszego uczczenia przez wdzięczną potomność, na pomniku wielkiego dziada powinno się znaleźć miejsce także dla medalionów pamiątkowych syna i wnuka.

Tymczasem seniorowi naszej krytyki i prassy życzymy długich jeszcze lat w zdrowiu i sile, które niechybnie do ostatniego tchu poświęci dla pożytecznej pracy publicznej!

M. G.

Międzynarodowa Rada Kobiet.

II.

W r. 1900 włoszki zawiązują „Federazione delle opere feminili romane“ i przystępują do macierzy sfederowanych związków.

W tymże czasie w Szwajcaryi dokonywa się Unja 26 stowarzyszeń kobiecych. Reprezentowane są w niej wszystkie kantony sfederowane, wszystkie klasy demokratycznego narodu. Unję tę uznaje oficjalnie rząd szwajcarski przyznając jej odpowiednią reprezentacyę w komisyi, która ma obradować nad przyszłym kodeksem.

Szwajcarska Unja wciela się w r. 1901 do *Rady Międzynarodowej.*

W ślady jej wstępują kobiety z Republiki Argentyńskiej Victorja i Australji południowej.

We Francyi, podejmowane kilkakrotnie usiłowania stworzenia „Unii powszechnej kobiet“, nie doprowadziły do pomyślnego rezultatu. Połączenie istniejących stowarzyszeń i przystąpienie do centralnej organizacyi międzynarodowej dokonało się w Paryżu w roku 1901.

Francuska *Rada* składa się z syndykatów giełdy pracy, związków wychowawczych i zawodowych oraz instytucyj dobroczynnych. Obok burżuazyi i inteligencyi zdołała ona zgrupować i żywioły proletarjackie.

W r. 1903 do *Rady międzynarodowej* przystąpiły feministyczne stowarzyszenia Austryi i Węgier.

Kongres *Międzynarodowej Rady kobiet*, odbyty w r. 1904 w Berlinie był nowym ważnym etapem rozwojowym.

Uwaga całej stolicy skupiła się wówczas w około Filharmonji w której obradowały przybyłe z najdalszych zakątków ziemi feministki. Gmach oblegany był wprost przez nieprzebrane tłumy ciekawych. Rząd i dwór prześcigali się w gościnnej kurtuazyi. Cesarzowa podejmowała u siebie wybitniejszych gości. Na salach obrad wygłoszono wiele pięknych mów. Baronową Suttner oklaskiwano gorąco za umotywowanie humanitarnego hasła: „Precz z orężem!“

Przemówienie jej uzupełniła delegatka francuska Iza Bogelot żądaniem ustanowienia stałych trybunałów rozjemczych.

Po za agitacyą na rzecz powszechnego pokoju (która o ile się zdaje nie naruszyła podstaw pruskiego militaryzmu) poruszono szereg zagadnień kulturalnych społecznych i ekonomicznych, związanych ze sprawą kobiecą. Uznano ogólnie konieczność żywszego domagania się praw wyborczych dla kobiet.

W rok później *Radę* wzmocniło przystąpienie przedstawicielek Norwegii i Belgii. Tak że gdy w r. 1906 *Rada międzynarodowa* odbyła zjazd w Paryżu, stała już na czele przedstawicielstwa 20 krajów a 10 milionów dusz kobiecych.

Paryż prześcignął Berlin na punkcie gościnności

Miasto wyznaczyło komitetowi organizacyjnemu subwencyę dozwalającą na sute podjęcia uczestniczek kongresu. Imieniem miasta witał je Bellan, imieniem ministeryum spraw zagranicznych Vernis. Na bankiecie wygłaszali mowy na cześć kobiet Fryderyk Passy, oraz deputowani, mężowie stanu, poeci i t. d. Prasa paryska wobec powagi obrad spuściła z tonu żartobliwego wymawiając jedynie „działaczkom“... nadmiar wykwintu i elegancyi.

Przedstawiciele różnych stronnictw francuskich uznając w ruchu kobiecym „siłę z którą należy się rachować“ zaczęli po cichu rozważać co i komu przyniesie ona w niedalekiej przyszłości...

Następny zjazd oficyalny *Rady międzynarodowej kobiet* odbędzie się w ciągu lata roku 1909 w Toreto, w prowincyi Kanada.

Przy tej sposobności (podobnie jak to miało miejsce w Berlinie w r. 1904) zwołanym zostanie równocześnie międzynarodowy kongres kobiecy.

Sfederowana liga stowarzyszeń kobiecych kanadyjskich czyni energiczne przygotowania dla uroczystego przyjęcia gości, mających przybyć ze wszystkich krańców cywilizowanego świata.

Niezależnie od tego zjazdu, zwołanego według brzmienia ustawy w terminie pięcioletnim, w roku bieżącym zapowiedziano w Genewie *nadzwyczajne* zgromadzenie delegatek *Rady międzynarodowej* Termin zebrania naznaczono na dzień 1 września.

Obrady trwać mają dni cztery. Celem ich porozumienie się w kwestyach formalnych, przygotowanie pewnych zmian w statutach, oraz opracowanie programu i porządku dziennego przyszłorocznego zjazdu.

Oprócz tego rozważanym będzie projekt *Rady* angielskiej proponujący utworzenie przy *Radzie* „międzynyrodowego biura“ poświęconego sprawom wychowawczym.

Biuro zbierałoby dane o obecnym stanie wykształcenia kobiet w różnych krajach, a zarazem rozwijało agitacyę w sprawie równouprawnienia płci wobec wiedzy.

Z jednej strony szłoby zatem ujednostajnienie programów szkół średnich męskich i żeńskich, a swobodny dostęp do wyższych uczelni i szkół zawodowych; z drugiej o zrównanie płacy i warunków pracy pedagogów obu płci, a zapewnienie im jednakich stanowisk i równego udziału w radach i zarządach szkolnych, uniwersyteckich i t. d.

Niezależnie od tego zjazdu (mającego charakter przygotowawczy), związek stowarzyszeń kobiet włoskich zwołuje w marcu roku bieżącego, narodowy kongres kobiet włoskich.

Na zjazd ten otrzymały zaproszenia delegatki należące do Rad narodowych poszczególnych krajów.

Obrady odbywać się będą w sześciu sekcyach.

Obejmować one będą:

1) Wychowanie i wykształcenie, 2) Samopomoc społeczną; 3) Stanowisko kobiety wobec prawa i życia politycznego, 4) Hygiena, 5) Szkoła i literatura, 6) Wychodźtwo.

*
* *

Niezależnie od *Rady międzynarodowej kobiet* w Berlinie podczas kongresu zawiązała się (zapoczątkowana w Ameryce) *Liga Towarzystw praw wyborczych kobiet.* Ma ona na celu prowadzenie ruchliwej agitacyi w sprawie politycznego równouprawnienia obu płci. Liga ta zwołała w sierpniu 1906 r. w Kopenhadze kongres międzynarodowy, w którym brały udział przedstawicielki 10 krajów. Postanowiono między innemi urządzić w r. 1908 szereg „meetingów“ w Amsterdamie, Rotterdamie i Hadze by usposobić opinię przychylnie dla spraw głosowania kobiet przed przygotowaną na rok 1909 w Holandyi reformę ordynacyi wyborczej i zmianą ustaw zasadniczych.

*
* *

Dla uzupełnienia przeglądu międzynarodowych organizacyj kobiecych należy dodać iż w roku ubiegłym na odbytym w Stutgardzie międzynarodowym zjeździe kobiet socjaldemokratek, postanowiono założyć Biuro międzynarodowe mające na celu: utrzymywanie stałej łączności pomiędzy przedstawicielkami grup tej partyi,—organizowanie dorocznych zjazdów,—zakładanie pism partyjnych kobiecych i t. d.

Partye socyalistyczne kobiece zamierzają odłączyć się od ruchu feministycznego burżuazyjnego, działać na własną rękę wykazując przeciwieństwo interesów klasowych „kobiet z proletaryatu“ i „dam ze sfer posiadających“.

Jak widzimy ruch kobiecy w zetknięciu z rzeczywistością różniczkuje się i staje różnostronnym jak życie samo. Czy wobec coraz gwałtowniejszego ścierania się stronnictw i programów *Rada międzynarodowa* utrzyma się stale na swym „piedestale“ ponadpartyjnym i apolitycznym, przewidzieć trudno.

J. Orka.

POLSKA SZTUKA STOSOWANA.

I.

Nieodzowną potrzebę sztuki stosowanej, jako czynnika rozwijającego estetycznie i stanowiącego szczebel, ułatwiający gruntowne zrozumienie dzieł sztuki czystej, obserwują obecnie wszystkie społeczeństwa cywilizowane, jako dowód czego służyć może ruch, który zapanował w tym kierunku w ostatnich dziesiątkach zeszłego stulecia; zapoczątkowany w Anglii przez Ruskina, rozsiewany tamże przez Wiliama Moriusa, Bwines-Janes'a i Waltera Crane, objął wkrótce całą prawie Europę. Przed kilku laty odbywała się międzynarodowa wystawa sztuki stosowanej w Turynie, na której można było ocenić usiłowania poszczególnych krajów, dążące do podniesienia poziomu artystycznego swych produkcyj, oraz wytworzenia odrębnego stylu zdobnictwa każdego narodu.

Nasza sztuka stosowana nie była wcale reprezentowaną na owym międzynarodowym turnieju, gdyż, niestety, od niedawna dopiero uczuliśmu potrzebę zajęcia się przemysłem artystycznym i nadania mu odrębnych cech narodowych.

Sztuka zdobnicza o charakterze swojskim, rozwijała się dotąd przeważnie w produkcyach ludowych, mających pierwiastki wysokiej niemal oryginalności, chociaż cechuje je często wysoka naiwność oraz zupełna prymitywność pojęć estetycznych.

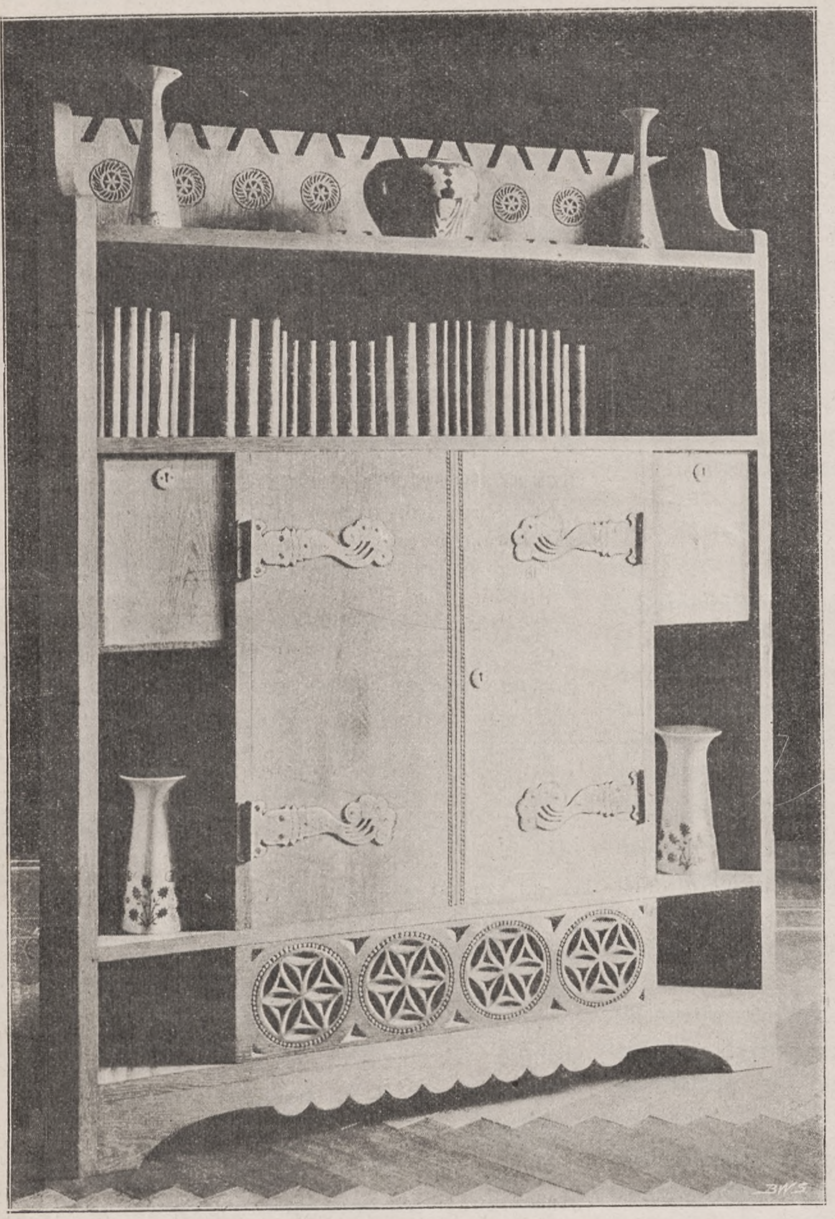
Kiedy podjęto walkę o samodzielność sztuki polskiej, zwrócono się z konieczności do źródeł ludowych; podstawę pracy w tym kierunku zawdzięczamy Witkiewiczowi i Matlakowskiemu, którzy z zapałem zaczęli studyować przejawy zdobnictwa ludowego w Zakopanem; gdzie przechowały się one w najczystszej swej formie, jako w miejscowości do niedawna zupełnie oderwanej od świata i mało podległej wpływom późniejszej kultury.

Dzięki dwom wyczerpującym pracom Władysława Matlakowskiego, motywy góralskie są już obecnie więcej znane i zbadane, niż motywy innych okolic naszego kraju; opierając się na zasadzie budownictwa ludowego na Podhalu, dał nam Stanisław Witkiewicz szereg przepięknych okazów domów w stylu chat zakopiańskich. Bogata ornamentyka sprzętów w chasie góralskiej oraz charakterystyczne ich kształty zostały niejednokrotnie zużyte w wyrobach naszego przemysłu artystycznego.

Chcąc tak szczęśliwie zapoczątkowany ruch rozszerzyć i na inne dzielnice kraju naszego, i tym sposobem dążyć do wytworzenia oryginalnego polskiego zdobnictwa, grono osób, przejętych szczerym zapałem do tej żywotnej sprawy, zawiązało w r. 1901 w Krakowie towarzystwo pod nazwą „Polska sztuka stosowana“, którego prezesem jest p. Jerzy Warchałowski, a pomiędzy inicyatorami spotykamy nazwiska pp.: Czajkowskiego, Bukowskiego, Dąbrowy, dra Golińskiego, dra Balickiego, Mehofera, Stanisławskiego, Tichego, Trojanowskiego, Tetmajera i innych artystów i miłośników sztuki, którzy stali się członkami-założycielami danego stowarzyszenia. Stanisław Witkiewicz i Stanisław Wyspiański mianowani zostali w niem członkami honorowemi. Liczba członków w ciągu sześcioletniego istnienia Towarzystwa dosięgła 350 osób, które z wielką gorliwością i zapałem rozwijały podjętą ideę.

Dążąc do wytworzenia w przyszłości odrębnego stylu polskiego, Towarzystwo starało się zbadać wszelkie przejawy zdobnictwa ludowego, jakie spotkać można w różnych okolicach naszego kraju. W ten sposób zgromadzono duży zbiór najcharakterystyczniejszych motywów dekoracyjnych ludowych, które mogą służyć jako materyał do twórczej oryginalnej sztuki stosowanej; sztuka taka, chcąc być swojską, musi po dokładnem zbadaniu wszelkich przejawów artystycznych ludowych, dać następnie ich syntezę w pracach poszczególnych artystów, unikając jednak starannie niewolniczego kopiowania motywów ludowych.

Sztuka stosowana powinna być przede-





SZAFKA NA KSIĄŻKI — Prof. EDWARDA TROJANOWSKIEGO — KREDENS I KRZESŁO

wszystkiem twórczą i oryginalną, a utwory rzeczywistego talentu grupy najbardziej indywidualnych jednostek, będą posiadać jednak cechy wspólne, spowodowane wpływem otoczenia, cechy te nadadzą odrębność narodową ich pracom, daleką od wszelkiej tendencyjności, oburzającej poziom artystyczny.

Takiemi właśnie drogami dąży krakowska „Sztuka stosowana". Urządzona przed pięciu laty po raz pierwszy w Warszawie wystawa tego Towarzystwa nosiła charakter przeważnie etnograficzny, zaznajamiała nas ona z przejawami zdobnictwa ludowego, zebranemi z pietyzmem w różnych okolicach naszego kraju. Dział usiłowań współczesnych na owej wystawie nie przedstawiał się jeszcze zbyt bogato, gdyż krótki stosunkowo przeciąg czasu, jaki artyści poświęcali na tę pracę, nie pozwalał na bardziej dodatnie wyniki. Przez przeciąg ostatnich lat pięciu stowarzyszenie pracowało gorączkowo, urządzano w Krakowie wystawy kilimów, mebli, zabytków budownictwa drzewnego oraz niezwykle interesującą wystawę drukarską.

„Polska sztuka stosowana" podejmowała się też komponowania i urządzania całych wnętrz budynków, zarówno ich ornamentyki jak i całkowitego umeblowania. W ten sposób powstały niezmiernie artystyczne i oryginalne sale w starym teatrze w Krakowie, w tym szczęśliwym Krakowie, który posiada też przepyszny „Dom towarzystwa lekarskiego„ skomponowany i ozdobiony przez Stanisława Wyspiańskiego. Obecnie Mehoffer projektuje bardzo charakterystyczne wnętrza sal w izbie handlowej krakowskiej.

Podwawelski gród całą siłą wyzwala się z szablonu dotychczasowych urządzeń naszych gmachów i domów mieszkalnych, dziwnie banalnych i pozbawionych wszelkiego charakteru.

Warszawa, niestety, tonie dotąd prawie w zupełności w bezbarwnej zagranicznej tandecie, cechującej przedmioty przemysłu artystycznego; jako bardzo jasne zjawisko powitać też należy świeżo otwartą w salonach Zachęty wystawę „Polskiej sztuki stosowanej" na którą złożył się szereg całkowicie urządzonych pokojów, skomponowanych przez pierwszorzędnych artystów naszych i wykonanych we właściwym materyale przez wybitnych rzemieślników.

Meble, witraże, kilimy, wszystko to zrobione zostało podług oryginalnych wzorów swojskich, przez swojskich rzemieślników. Prócz sal tych wystawa obejmuje bogaty dział drukarski oraz projektów dekoracyjnych; plon obfity i wymagający szczegółowego omówienia. Na razie zaznaczyć tylko i z radością podkreślić należy fakt wprowadzenia w życie w sposób konkretny pierwszych usiłowań wytworzenia odrębnego, swojskiego stylu, nadania cech wyrazistości i charakteru przedmiotom codziennego naszego otoczenia.

Jak się z tego wywiązało obecnie grono artystów, pomówimy obszerniej za następnym razem.

Z. Skorobohata-Stankiewiczówna.

(Dokończenie nastąpi).

Z sali odczytów.

Ze Stowarzyszenia umysłowo pracujących Polek.

Przerwaną seryę odczytów „o filozofii XIX stulecia" wznowiono d. 2 lutego, wykładem o powstaniu filozofii materyalistycznej i jednym z najpierwszych przedstawicieli tego kierunku, Strauss'ie.

Prof. Kozłowski nawiązał rzecz do treści swych poprzednich odczytów i przypomniał że główną cechą filozofii XIX stulecia była jej łączność z budzącymi się prądami społecznymi, a przemiany w pojęciach filozoficznych postępowały równolegle z tym fermentem niezadowolenia który nurtował wśród społeczeństw nowożytnych i przygotowywał wielkie przeobrażenia w sferze politycznych i ekonomicznych stosunków.

W pierwszej połowie ubiegłego wieku cała środkowa Europa hołdowała ideom Hegla; poglądy tego myśliciela głoszone były ze wszystkich katedr uniwersyteckich w Niemczech i znajdowały życzliwe poparcie sfer rządzących, dlatego że dobrze przystosowy-

wały się do wymagań państwowości. Heglowska metoda dowodzenia polegająca na stawianiu tezy i antytezy, a następnie kojarząca sprzeczności w syntezie, pozwalała znaleźć na wszystko sofistyczne usprawiedliwienie, i nastręczała wygodne teoretyczne rozwiązanie dla najbardziej skomplikowanych zagadnień. Nie wszyscy uczniowie Hegla godzili się na te poglądy; w szkole jego zarysowały się pewne różnice ideowe, które po śmierci mistrza spowodowały jej ostateczny rozłam na prawicę, lewicę i centrum. Z tych odłamów najwyraźniej się wyeliminowała i najwydatniejszą rolę w dalszym rozwoju filozofii odegrała lewica, a najbardziej typowymi jej przedstawicielami byli: w kierunku pojęciowym Strauss i Feuerbach, a w kierunku ekonomiczno-społecznym Marks.

Strauss stając w antagonizmie do nauki swego mistrza, pierwszy atak skierował na jego poglądy religijno-filozoficzne, a raczej na usiłowanie pojednania prawd filozofii z nakazami wiary. Religia, według Hegl'a uczy tych samych prawd które wyznaje filozofia, a różnica polega tylko na tem, że pierwsza przemawia obrazami i zwraca się do uczuć i wyobrażeń, druga posługuje się rozumowaniem i zwraca się do pojęć. Strauss zwalcza to twierdzenie usiłując dowieść że filozofia na dociekaniu prawd naukowych oparta, staje w zasadniczej sprzeczności do dogmatów wiary. Swą krytykę chrześcijaństwa oparł Strauss na podstawach historycznych a wnioski z tych badań wyciągnięte posłużyły mu za materyał do następujących prac: „Dogmaty chrześcijańskie w walce z wiedzą współczesną“, „Stara i nowa wiara“, „Życie Chrystusa“. Prócz tych dzieł najważniejszych, przytoczył jeszcze prelegent tytuły pomniejszych studyów Strauss'a: „O Juljanie Apostacie“, „Ulrychu v. Hutten'ie“ i „Wolterze“. Ciekawym przyczynkiem do charakterystyki tego myśliciela jest fakt, że jednym z zarzutów czynionych religii chrześcijańskiej jest pomawianie jej o stanowisko klasowe, sprzyjające proletarjatowi i broniące go przed uciskiem możnych. Stanowisko konserwatysty społecznego które tym poglądem Strauss zaznaczył, stawia go w jaskrawej sprzeczności do ducha epoki w której żył, w pierwszej bowiem połowie ubiegłego wieku radykalizm filozoficzny godził się z socyalizmem, później dopiero nastąpił w nim rozłam, który sprawił, że liberalizm indywidualistyczny i radykalizm społeczny odmiennemi poszły drogami. Ostatnie dzieło Strauss'a „Stara i nowa wiara“ wyszło już w drugiej połowie stulecia i stanowi wymowny objaw tego rozłamu.

W następnym odczycie prof. Kozłowski mówić będzie o Feuerbachu. *z. b.*

Chwila bieżąca.

— Posiedzenie rady państwa, które odbyło się d. 4-go lutego było nader burzliwe. Poseł Puriszkiewicz zachowywał się skandalicznie, obrażając z premedytacyą posła Milukowa, nazywając go łotrem; gdy pomimo nawoływań prezesa nieprzestawał używać nieparlamentarnych wyrażeń, wykluczono go z Dumy na 15 posiedzeń.

— Młody król portugalski, Manuel, rozpoczął panowanie od amnestyi dla politycznych przestępców uwięzionych przez dyrektora Franke i wznowienie wydawnictw zawieszonych dzienników, co wywarło wśród ludności dobre wrażenie. Królowa Amelia, która tak dzielnie zachowała się podczas strasznego zamachu, jest nadzwyczaj popularną w kraju, dzięki wesołemu usposobieniu, męstwu i dobroczynności. Poświęcała się poważnym studyom medycznym w przeciągu kilku lat, szczególnie gorliwie ucząc się anatomii. Zapowiedziany w r. b. kongres lekarski w Lizbonie miała osobiście otworzyć. Zajmuje się szpitalnictwem, przytułkami ochronnemi i rozmaitemi instytucyami dobroczynnemi. Jest dla ubogich nadzwyczaj dostępną. Dla upamiętnienia tragicznej śmierci męża i syna ma zamiar wznieść wielką ochronę dla sierot, oraz kaplicę pamiątkową.

— Hr. Gustaw Przeździecki podarował majątek Józefów-Ustronie położony na szosie grójeckiej o kilkanaście wiorst od rogatki Jerozolimskiej instytucyi Domu schronienia Najświętszej Maryi Panny, której zadaniem jest poprawa obyczajów upadłych dziewcząt i kobiet. Majątek zawiera 20 włók i przedstawia wartość 100–120 tysięcy rubli.

— Uniwersytet dla wszystkich otwiera seryę odczytów o wyższym poziomie, które będą się odbywały co niedziela o godz. 4-ej w sali Filharmonii. Dotąd zapowiedziano następujące: p. Tadeusz Ulanowski „O źródłach modernizmu polskiego“ i „O epoce pozytywizmu u nas“, p. Wacław Makowski „O nowym człowieku w literaturze polskiej“, p. W. Feldman „O idei demokratycznej w literatuurze polskiej XX w.“ i p. J. Lorentowicz „O Cypryanie Norwidzie“.

— Ministrem przemysłu i handlu mianowano Szipowa.

— Pomiędzy Rosyą i Szwecyą nastąpiło porozumienie w sprawach handlu cukrem, d. 23 stycznia podpisano w ministeryum spraw zagranicznych akt, będący uzupełnieniem brukselskiej konwencyi cukrowej.

Na zjeździe sędziów pokoju I okręgu gubernii warszawskiej ławnicy na propozycyę składania przysięgi w języku rosyjskim odpowiedzieli odmownie, motywując niedostateczną znajomość języka urzędowego, uważając przysięgę za akt zbyt doniosły, którego nie można dokonać, bez dostatecznego rozumienia języka. Z tego powodu został spisany protokuł, który zostanie przesłany ministrowi sprawiedliwości do rozważania.

Treść numeru:

Do dziesiejszego numeru dołącza się arkusz 5-ty powieści p. t. „Pamiętnik idealistki“, p. Malwidę von Meysenbug, w przekładzie R. C.

OGŁOSZENIA.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Piotr Laskauer.** Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.